

021199/1942 III



KV WOLNEJ POLSCE



TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 5 lipca 1942 r.

Rok III Nr. 25 (402)



Bazylika Konania na Górze Oliwnej

W 2638/02

TREŚĆ ZESZYTU

- Za wszelką cenę *Z. N.*
Litania Loretańska do N. M. Panny
(Fragment) *Zdzisław Broncel*
Pomocnicza Służba Wojskowa
Kobiet *Teodozja Lisiewicz*
Nie sztuka umrzeć... — wiersz *H. Terlecka*
Z żołnierskiej wędrówki *Jerzy Łużyc*
Kronika W.P.Ś.W.
Rozkaz Naczelnego Wodza
Wizyta d-cy wojsk czechosłowackich
Zastępca d-cy II. Korpusu
Imieniny Prezydenta R.P.
i Naczelnego Wodza
Pielgrzymka ułańskich Janów *(x)*
Odpowiedzi Redakcji
Walka o Egipt
(Tygodniowy przegląd wydarzeń) *D. I.*
Ambicja i Rzeczowość *On.*
Ziemia przyciąga do siebie *Jacek Brzezina*
Wiadomości z Polski
Struktura administracyjna
Generał Gubernatorstwa
Monopole w G. G.
Państwowe zakłady zbożowe
i przemysłowe w G. G.
Uruchomienie przemysłu w „Centralnym Okręgu Przemysłowym“
(C.O.P.)
Poszukiwania
Zbiórka odzieży dla uchodźców
z Rosji
Fotografie *J. Fuks*

Z życia Wojska Polskiego



Brytyjski wicepremier Attlee wśród spadochroniarzy polskich



Polscy spadochroniarze na ćwiczeniach

KU WOLNEJ POLSCE

TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 5 lipca 1942 r.

Rok III Nr. 25 (402)

ZA WSZELKĄ CENĘ

Gdy o świcie 1 września 1939 roku armia niemiecka uderzyła na Polskę, Hitler wydał rozkaz do żołnierzy, w którym m.in. powiedział: „Musicie Polskę za wszelką cenę rzucić na kolana“.

Tego zwrotu Hitler w rozkazie swym nie uzasadniał szerzej. Pewien był widocznie, że żołnierzy niemieckich nie trzeba specjalnie podniecać do walki z Polakami. Przeciwnie od klęski Rzeszy w listopadzie 1918 roku wewnętrzna propaganda niemiecka wszelkimi możliwymi drogami wsączała społeczeństwu niemieckiemu nienawiść do wszystkiego, co polskie.

Było bez znaczenia, że w okresie kilkoletnim, jaki nastąpił po podpisaniu polsko-niemieckiej deklaracji o nieuciekaniu się do siły, czołowe organy prasy niemieckiej nie tylko powstrzymywały się na ogół od napaści na Polskę, ale zamieszczały od czasu do czasu artykuły dla Polski i Polaków przychylnie. Tego wymagała polityka zagraniczna Rzeszy. Równocześnie jednak dbano starannie, by antypolskie nastroje szerokiej ludności nie ulegały osłabieniu i dlatego prasy prowincjonalnej, tej którą czytały miliony i miliony Niemców, nie tylko że nie krępowano w ujawnianiu prawdziwych uczuć do Polski, ale ją do tego zachęcano. A to leżało także w programie polityki zagranicznej Niemiec, tej polityki, której prowadzenie Rzesza Niemiecka rezerwowała sobie na bliższą czy dalszą przyszłość.

Istniał jednak również inny powód, dlaczego Hitler nie mówił na razie o istotnych przyczynach wojny z Polską. Hitler czuł, że wojna ta rozpętać może ogólną zawieruchę; lędził się, że zawieruchy takiej uda mu się uniknąć, lecz nie był tego pewien. Pragnął zaś zachować dla Rzeszy na wszelki wypadek możliwość wysunięcia fałszywego argumentu, że to nie Niemcy rozpętały wojnę, i że, co za tym idzie, nie one ponoszą odpowiedzialność za katastrofę, która nawiedziła świat. Propaganda niemiecka usiłowała od początku przerzucić odpowiedzialność za wybuch wojny na Polskę. Głosiła więc i głosi ustawicznie, że Polska pierwsza zaatakowała Niemcy, które musiały się tylko bronić, bo zostały do wojny zmuszone.

W miarę jednak, jak losy wojny dawały na razie Niemcom korzyści terytorialne, ale również w miarę jak mnożyły się z biegiem czasu oznaki możliwości wewnętrznego załamania się Niemiec, urzędowa propaganda Rzeszy uchyla rąbek zasłony pokrywającej istotne przyczyny, dla których Hitler rozpętał kataklizm. Z konieczności mówi się już ludności niemieckiej, że to przecież nie Gdańsk był przyczyną wojny, bo o to nie warto było przelewać tyle krwi; ale i z konieczności mówi się też Niemcom, że mają w tej wojnie wszystko do wygrania i wszystko do stracenia.

I właśnie to wszystko, co Niemcy miały do wygrania i co chciały zdobyć, kazało Hitlerowi dać żołnierzom niemieckim rozkaz „rzucenia Polski na kolana“:

Warto więc zastanowić się, chociażby dosyć pobieżnie, jakim to planom niemieckim Polska stała na zawadzie, o co Polska walczy, co tej naszej walce zawdzięczają nasi alianci i co tej naszej walce zawdzięczać będzie cały świat.

Klęska 1918-go roku przyczyniła się w konsekwencji do dużej radykalizacji mas w Niemczech. U podłoża tej radykalizacji leżał ustawiczny wzrost bezrobocia, wynikły z konieczności przestawienia przemysłu wojennego na przemysł pokojowy, przy utracie wszystkich przedwojennych, zagranicznych rynków zbytu, które trzeba było ponownie zdobywać. Sytuację tę stale zaostrzał narastający gospodarczy kryzys światowy. W pewnym momencie, bezpośrednio przed dojściem Hitlera do władzy, liczba bezrobotnych w Rzeszy dochodziła do przeszło sześciu milionów ludzi, to znaczy, że bezrobociem objęte było ponad dziewięć procent ludności Niemiec.

Na tych przede wszystkim masach oparł swą działalność Hitler. Hitler był tym, który niezadowolony z istniejącego stanu politycznego i społecznego potrafił zorganizować i nadać mu określony kierunek najpierw w polityce wewnętrznej, po dojściu zaś do władzy i w zagranicznej.

Dążąc do władzy stale obiecywał on swym zwolennikom m.in. zlikwidowanie bezrobocia; przyznać trzeba, że tej obietnicy dotrzymał. Dotrzymał jednak w ten sposób, że stopniowo cały aparat przemysłu niemieckiego przestawił na produkcję wojenną.

Oczywiście, czynił to mając z góry określony cel polityczny i zdając sobie sprawę, że taką gospodarkę może prowadzić jedynie do określonego terminu. Celem tym była wojna o panowanie Niemiec nad światem; terminem — chwila, w której prowadzona przez Niemcy polityka nacisków i szantażów już nie wystarczy, bo wreszcie znajdzie się ktoś, kto przed żądaniem Niemiec nie ustąpi.

Hitler wiedział, że naród niemiecki zaczyna się starzeć, że wykazuje stale postępujący spadek urodzin; wiedział, że lata, w których on sam doszedł do władzy są może ostatnimi latami, w których Niemcy mogą spróbować sięgnąć po panowanie w Europie i świecie, między innymi dlatego, że w latach tych weszły w życie najliczniejsze roczniki młodzieży niemieckiej, roczniki z przed poprzedniej wojny. Wszystkie późniejsze wykazywały już katastrofalny spadek naturalnego przyrostu. To był jeden z poważniejszych powodów, dla których kanclerz Rzeszy musiał się spieszyć i musiał świat zaskoczyć.

Ale na drodze do urzeczywistnienia dążeń niemieckich stała przede wszystkim Polska.

Dokoła Polski bowiem zgrupować się mógł pewien zespół państw położonych na południe i północ od niej, z państwami skandynawskimi włącznie. Polska była tym państwem, które mogło skupić dokoła siebie drobniejsze organizmy państwowe, w niczym samodzielności tych organizmów nie

zagrożając. Jedynie Polska mogła podjąć się utworzenia na wschodniej i południowo-wschodniej granicy Niemiec takiego bloku, który by parcie Niemiec w tych kierunkach bardzo utrudniał, jeżeli nie uniemożliwiał, bloku, który by jednoczył należące doń państwa w imię dobrze zrozumianego ich własnego interesu, a to tym silniej, im staranniej byłaby wyłączona wszelka obawa kształtowania warunków życia słabszego przez wolę silniejszego. Oczywiście, że stworzenie takiej współpracy wymagałoby pokonania pewnych trudności wynikających z różnych spornych kwestii, jakie między niektórymi z tych państw istniały; usunięcie jednak tych różnic mogło być ostatecznie kwestią czasu.

Polska była na obszarze między Niemcami a Rosją państwem najsilniejszym, a istnienie silnej Polski było gwarancją rzeczywistej niepodległości całego szeregu mniejszych państw na jej peryferiach, które to państwa, wraz z Polską, wszystkie leżały na najbliższych szlakach imperialistycznych dążności niemieckich.

Niezależnie zaś od tych możliwości politycznych, które Polska usiłowała stopniowo realizować, stanowiła ona w układzie stosunków europejskich poważne ogniwo i z innego punktu widzenia. Posiadała sojusz z Francją i każde zbrojne uderzenie Niemiec na Francję musiałyby w myśl postanowień sojuszu wywołać i wywołałyby, natychmiastową zbrojną reakcję ze strony Polski.

Z tych też powodów, czy Hitler chciałby szukać urzeczywistnienia swych planów przede wszystkim na wschodzie, czy przede wszystkim na zachodzie, musiał i w jednym i w drugim wypadku bądź to porozumieć się z Polską, bądź Polskę rozbić.

Początkowo wybrał pierwszą drogę kuszając nas przez długi czas propozycjami wspólnego ataku na Rosję. Gdy ostatecznie przekonał się, że absolutnie nie może liczyć na naszą zgodę, zdecydował się uderzyć na nas i to uderzyć szybko, by nie dać ani nam, ani naszym sprzymierzeńcom czasu na dozbrojenie się i uniknąć ciężkiej walki równocześnie na dwóch frontach. Trzeba bowiem pamiętać, że do sojuszu polsko-francuskiego dochodził polsko-angielski pakt o wzajemnej gwarancji, będący nowym naszym przymierzem obronnym.

Možnaby przypuszczać, że Hitler, w którego taktyce leży nie tyle może szukanie słabych stron przeciwnika ile niszczenie jego żywej siły, uderzył przede wszystkim na nas dlatego, że z trzech państw sojuszniczych na początku wojny, Polski, Wielkiej Brytanii i Francji, Polska miała lądową armię najsilniejszą. Nie ulegało przy tym żadnej wątpliwości, że uderzenie na Francję pociągnęłoby za sobą nasz zdecydowany atak na Niemcy, podczas gdy Hitler mógł mieć nadzieję, że atak na nas nie spotka się z równoczesnym zdecydowanym uderzeniem francuskim na linię Siegfrieda. Hitler dał wyraz tej nadziei we wspomnianym już swoim rozkazie z 1 września 1939 r. podkreślając, że ewentualny napór francuski linia ta wytrzyma. Jak to wykazał późniejszy rozwój wypadków, przewidywania jego okazały się słuszne. Armia francuska ograniczyła się w czasie walk w Polsce do słabych działań na froncie zachodnim.

Zachodzi pytanie, czy Polska mogła uniknąć wojny?

W długotrwałym okresie ponawianych propozycji niemieckich wspólnego uderzenia na Rosję przyjęcie tych propozycji mogło odwlec samą rozprawę polsko-niemiecką; ale ścisła współpraca wojskowa z Niemcami przeciw Rosji, pociągająca z konieczności obecność wojsk niemieckich w Polsce, musiałyby w rezultacie uzależnić nas całkowicie od Niemiec. Odwlekłoby to jedynie tylko konflikt polsko-niemiecki, ale rezultat tego konfliktu byłby dla nas nieuchronnie zły i to w warunkach, w których nie moglibyśmy się powoływać na żadne atuty o charakterze moralnym.

Trzeba przy tym pamiętać, że z Rosją sowiecką posia-

daliśmy pakt o nieagresji, który, równie jak wszystkie inne nasze traktaty oparte na wzajemności zobowiązań, zdecydowani byliśmy uszanować.

Później zaś, gdy Niemcy szykowały się już do bezpośredniego zaatakowania Polski, i wysuwały pod naszym adresem szereg żądań terytorialnych, wojna z Niemcami była nieuchronna. Żaden bowiem rząd polski nie przyjąłby warunków, oddających bez walki komukolwiek bądź bodaj piędź ziemi polskiej.

Tak więc Polska stanęła w poprzek dążeń niemieckich. Rzesza nie miała innego wyjścia tylko albo uderzyć na Polskę, albo zrezygnować ze snów o panowaniu nad światem.

Polska przyjęła walkę nierówną, otoczona z trzech stron przez armie niemieckie; walkę tę przyjęła bez wahania z chwilą, gdy została zaatakowana. Prowadziła ją sama, bez wydanej podówczas pomocy ze strony sojuszników.

Walkę tę przyjęła w obronie nienaruszalności swych granic i walkę tę nadal prowadzi. Poza swym terytorium i w kraju. Bez wytchnienia, bez względu na ofiary, jakie to za sobą pociąga. Rozkaz Hitlera: „Musicie Polskę za wszelką cenę rzucić na kolana“ nie został wykonany, bo i nie mógł być. Pobić można tylko tego, kto się za pobitego uznaje i zaprzestaje walki. A Polska walczy wciąż.

Przez przyjęcie tej nierównej walki daliśmy swym sojusznikom zachodnim prawie osiem miesięcy wytchnienia niszcząc w tak poważnym stopniu niemiecką machinę wojenną, że Hitler nie odważył się wcześniej uderzyć na zachód. Daliśmy również jeszcze poważniejszy okres czasu na dozbrojenie się Związkowi Socjalistycznych Republik Rad.

Prowadząc walkę o nietykalność swych granic Polska równocześnie prowadzi wojnę o etykę w stosunkach międzynarodowych, o poszanowanie prawa każdego narodu do życia, o to, by każdy naród był sam gospodarzem u siebie w domu i by sam mógł swobodnie określać formy swego bytowania. To wszystko w połączeniu z siłą, jaką Polska reprezentuje, czynią z niej i czynić będą na obszarze pomiędzy Niemcami i Rosją jedyne państwo, około którego mogły i będą się mogły grupować bez obawy pozostałe państwa tego obszaru.

Tę rolę Polski w Europie środkowo-wschodniej, jako czynnika równowagi europejskiej, oceniła należycie Wielka Brytania zawierając z nami przed wojną pakt o wzajemnej gwarancji. Polska jest państwem, które pozostanie zawsze zaporą na drodze panowaniu niemieckiemu nad światem. Dopóki nad Wisłą stoi silna straż polska, dopóty droga Berlin—Bagdad jest dla Niemiec zamknięta.

Między Polską i Niemcami nie będzie nigdy miejsca na kompromis w sprawach, gdzie stawką jest byt państwa i narodu polskiego. Każda zaś dążność Niemiec do panowania w świecie zawiera w sobie śmiertelne dla nas niebezpieczeństwo.

To jest najrealniejsza gwarancja dla tych, co się z nami wiążą, a to tym bardziej, że nie mamy tendencji imperialistycznych. Rolę jednak antyniemieckiej zapory Polska spełni tym skuteczniej im będzie większa i silniejsza.

Kiedy zaś wreszcie zaświta jutrzienka zwycięstwa zwastując wszystkim poszanowanie ich praw, będzie to w bardzo poważnym stopniu dziełem Polski, która ponosząc ofiary tak ciężkie, jakich żaden naród w tej wojnie nie poniósł, dała dowód, że niemieckiej żądzy zapanowania za wszelką cenę nad światem potrafi przeciwstawić swą zdecydowaną wolę wywalczenia i sobie i innym pokoju oraz rzeczywistej wolności.

Również za wszelką cenę.

Albo Polska wymaga i wymagać będzie, by świat o tym pamiętał.

Litania Loretańska do N. M. Panny

(Fragment)

Kyrie elejson! — taki jest początek,
Który się w każdej powtarza litanii,
Dla nas ten pacierz to jedna z pamiątek,
Jaką zabrali ze sobą wygnani
Składając w serca poufny zakątek,
Gdzie jej rewizją nie sięgną profani
I gdzie nietknięta, cokolwiek się stanie,
Trwać będzie ufność i święte wezwanie —
Zmiłuj się, Pani!

Na dróg rozstajach — O Chryste elejson!
Drogi powrotnej prosimy u Ciebie,
Który się naszym przypatrujesz rejsom
Po wszystkich morzach i po wszystkiej glebie,
Po wszystkich łąkach, jakie w ziemi tej są,
Wśród wszystkich ludów, co w powszednim chlebie
Znalazły wojnę; przez znaki ogniste
Nad idącymi ku swej ziemi czyste
Zmiłuj się, Chryste!

W ogrodach Persji stodycz tuberozy
Płynię w alejach jałującą wiosną,
Topole srebro sączą nad wąwozy
A my, nieczuli, patrzymy czy rosną
Tu siwe wierzby i płaczące brzozy,
Czy wrzos się ścięło pod samotną sosną,
Wieczór mgieł welon wieszka nad polami
Kyrie elejson! — modląc się dzwonami —
Zmiłuj się nad nami!

W oazach palmy otwarte jak kielich,
Sady kwitnące fioletem magnolii
I oczy kobiet, jak oczy gazeli —
A nam się marzy zagon czarnej roli,
Jak sen niesiony na skrzydłach anielich
I że snem tylko — to nas sercem boli,
Każąc wargami powtarzać w pokorze:
Wśród cudów swoich, Ojczyści Boże
Zmiłuj się nad nami!

Czekamy nocy — i co noc to samo
Wznosi się niebo i te same gwiazdy
Wschodzą nad skałą rozdartą Iranu
Krążąc po szlakach podobocznnej jazdy,
Które jutrenka zabiera co rano
Ze strzech słomianych u polskiego gazdy
Przeto, że śpimy, gdy tam pług już orze
Synu, odkupicielu świata, Boże —
Zmiłuj się nad nami!

O świecie słońce fontannami blasku
Wstępuje pełnią na miedziane szczyty,
Jak gdyby nagle wiatr z pustynnych piasków
Odkopał tarczę z blachy zlotolitej,
Poległa niegdyś przy strąconym kasku
Jakiegoś Greka, Meda czy Ekwity —
Przez Twe języki świecące, jak zorze
Świecą nad hełmem, Duchu Święty Boże —
Zmiłuj się nad nami!

Jesteśmy bowiem z kraju, gdzie nie złoty
Jest brzask przedświt, ale gdzie czerwone
Słońce rozbija z obłoków namioty
I chmury pędzą skłębionym szwadronem,
Rzuciwszy w niebo swych deli wyloty
Karmazynowe, na zbroi srebrzonej...
Gdy tak purpurą wschód w pamięci gorze
Przenajświętsza Trójco, Jedyny Boże —
Zmiłuj się nad nami!

O jakże w piersi zmieścić i uwięzić
Zdradę tęsknoty, tajnej jako duchy,
Że jej ni pojąć, ni kulą zwyciężyć,
Wstającej widmem oblekłym w tańcuchy,
Kiedy szakale szczekają na księżyc
I gwiazdy lecą jak złote okruchy —
W godzinie owej przed serca awarią
Ratunek niosąc Święta Panno Mario
Módl się za nami!

Racz przybyć do nas, Patronko łaskawa,
Twe ręce pachną miętą i tymiankiem,
Szare skowronki wzlatują z rękawa
Chabrowej sukni i świergotu wiankiem
Krążą nad głową, aż ptaszęca wrzawa
Budzi Dziecinę; Ty wtedy porankiem
Zmywasz Jej oczy, a lico kropelką
Rosy... O Święta Boża Rodzicielko
Módl się za nami!

Która się cicho przechadzasz po polach
I w letnim skwarze, na miedzy pod gruszą;
Słuchasz jak wiejska spowiada się dola
Grając na tákach fujarką pastuszą,
Która się złotem stroisz, gdy po zbiorach
Na Twych ołtarzach kłósy ziarnem prószą.
Aureolę dźwigając wieńcami
O wonna, święta Panno nad pannami
Módl się za nami!

Która w jesieni, płaską idąc niwą
Wiążesz w kotyskę wiklinowe witki,
Albo sukmaną okrywszy się siwą
Po chłodnych rżyskach srebrne motasz nitki,
Zbierając miękkie pajęczce przedziwo
Dla nowej zgrzebnej dla Jezusa świtki
Póki jej szata nie zmieni godowa.
Matko szczęśliwa, Matko Chrystusowa
Módl się za nami!

Nam przecież nie mieć ni dzieci, ni domu,
Żony, siostr, braci, ojców ani matek,
Załoba patrzy z każdego załomu
Strzaskanych ulic — a domu ostatek
Zapadł się z drugim uderzeniem gromu
I dziś ojczyznę nosimy w plecaku,
Na siłach wiary, że kiedyś przez morze
Wrócimy do niej... Matko Łaski Bożej
Módl się za nami!

Chociaż się teraz spodobało Panu
 Zmienić rozlewy Wołgi i bieg Donu
 W ożywcze wody chrzcielnego Jordanu
 I dać nam miejsce w dolinach Hebronu,
 Gdzie wśród cyprysów i cedrów Libanu
 Żołnierskim butem po różach Saronu
 Maszerujemy, na drodze, gdzie Mistrza
 Kłula się stopa — O Matko Najczystsza
 Módl się za nami!

Choć pokolenie szło za pokoleniem,
 By się tu śmierci ozdabiać zaszczytem,
 Choć piędź tej ziemi w życia była cenie,
 Historia zasię pomników granitem
 Kamienowała tych, co na sumienie
 Brali wyprawę za krzyżowym mitem,
 I choć krzyżowym podobna dzisiejsza
 Wędrówka nasza — Matko Najśliczniejsza
 Módl się za nami!

Bo obcej ziemi, nawet Ziemi Świętej,
 Nie dane karmić tych, co sercem głodni,
 I którzy sławy pyszniąc się tętentem
 W obszarze świata — byliby wyrodni,
 Gdy przed Patronką o twarzy pociętej,
 W domu stojącym w kształt jednej pochodni,
 Wołają ludzie w siedmiokrotnych ranach
 Matko hańbiona, a Niepokalana —
 Módl się za nami!

ZDZISŁAW BRONCEL

Pomocnicza Służba Wojskowa Kobiet

Każde społeczeństwo nieprzyzwyczajone do kobiety w mundurze, w tym wypadku społeczeństwo polskie widząc kobiece zastępy żołnierskie, stawia często pytania: „Po co wciągać kobiety w szeregi armii? Co one w wojsku robią? Czy idą na front tak jak mężczyźni? Czy są tak jak żołnierze szkolone? Czy też mundur noszą jedynie dla zabawy?” Niestety, to ostatnie pytanie powtarza się często, po prostu jakby trudno było zrozumieć, że kobieta może równie dobrze, a czasami nawet lepiej pracować od mężczyzny w odpowiednich działach. A teraz od razu można dać krótką odpowiedź: „Wszystko, tylko nie dla zabawy!”, — bo kobieta

polska wstępująca w szeregi armii zadanie swoje traktuje bardzo poważnie i chce, by ją tak samo traktowano.

Nie ma takiej ofiary, nie ma takiej pracy, której by się dziś nie podjęła polska kobieta na równi z mężczyzną — jeżeli chodzi o odbudowę własnego kraju. Jeżeli w grę wchodzi walka o Polskę, to skoro kobiety mogły i nadal mogą na równi z mężczyznami cierpieć w więzieniach i obozach Gestapo, nie załamać się, przeciwnie zachowaniem i postawą dodawać sił otoczeniu — dlaczegożby więc armia, dla której walczyły, miała być dla nich zamknięta, a ich praca żołnierska miała budzić zastrzeżenia? — Kobieta



Wys. Kom. Mac Michael w obozie ochotniczek P.S.W.K.

polska uzyskała dziś zupełnie i zasłużenie, bo wielkim cierpieniem okupione, — prawa żołnierskie. Trzeba uprzytomnić sobie, że Polska dawno przestała być zaliczana do narodów wschodnich — jest na wskroś zachodnim krajem, a na Zachodzie kobieta służąca w armii nie wywołuje zdziwienia i nie budzi zastrzeżeń. Tylko narody o stopniu kultury niższym uważają kobietę za coś, choćby nieznacznie mniej cennego od mężczyzny. Żaden Polak nie chciałby dzisiaj, ażeby nawet podejrzenie takiego mniemania jego o kobiecie, która potrafiła z nim i za niego cierpieć — padło na niego.

„Co one robią w wojsku? — Czy idą na front jak mężczyźni?“ Co robią? — roboty jest dużo, a na front na razie nie idą, gdyż zastępują w armii mężczyzn, którzy dla tego frontu są przeznaczeni. Jednak, gdy zajdzie potrzeba, społeczeństwo polskie może być pewne, iż na równi z żołnierzami pójdą one na front i walczyć będą tak, że wstydu Armii Polskiej nie przyniosą.

Ochotniczki przechodzą przeszkolenie ogólnowojskowe i specjalizują się w służbie: zdrowia, administracyjno-gospodarczej, wartowniczej.

Przebywając na terenie Rosji Sowieckiej, po przeszkoleniu i specjalizacji, objęły prace w wojsku jako referentki, biuralistki, łączność (służba telefoniczna), w dziale kulturalno-oświatowym. Wracają tam do dawnych, ulubionych w kraju zajęć świetliczarskich, dają się poznać jako graficzki, prowadzą sklepy żołnierskie. Olbrzymie pole: dział sanitarny. Szpitale, ambulatoria, przychodnie żołnierskie biela się od płaszczy siostr polskich, pod płaszczykami tymi noszących grubą mundur żołnierski. Następnie gospodarstwo — kuchnie, kasyna, pralnie przechodzą w ręce kobiet. Pracują wraz z żołnierzem. Zaprawione do trudów wojny lekko znoszą twarde życie i dyscyplinę, za nic sobie mając przeciwności.

A warsztat krawiecki. Ileż to koszul żołnierskich, wielkich, za szerokich, ileż to kołnierzyków zmniejszanych rękami polskiej ochotniczki — ileż czap szytych, bluz zwężanych! Śnieg pada, śnieg topnieje, błoto chlupocze, błoto mróz ścina, a mundury szyją się i szyją, zielone, grube, wielkie i małe, i te najmniejsze — dla Junaków.

I ciekawa rzecz, w wojsku rozwinął się dział hafciarski. Szereg ochotniczek siedziało oto schylonych od rana do tego czasu, gdy jasność dzienna powoli szarzała i cień zupełny obejmował nieoświetlone pomieszczenia kobiecych baraków — haftując orły polskie i dystynkcje. Trzeba sobie uprzytomnić, że w okresie wojennym nie tak łatwo było dostarczyć od razu Armii Polskiej tysięcy orzełków i gwiazdek, „belek“ i „pasków“. Ile ich zajaśniało nad czołami polskich żołnierzy, ile zabłysło na ramionach mundurów, tyle zostało rękami polskiej ochotniczki wyszytych. I to nie srebrem, nie złotem, tylko zwykłą białą nicią, a najczęściej pasmami rwącej się co chwila prostej bawełny — te najkosztowniejsze odznaki nasze.

Po przejściu Armii na inne tereny nowy dział roboty, ten, o którym wspominaliśmy już — cywilny.

Pierwszy etap pracy polskiej ochotniczki, to przejmowanie



Oddział P.S.W.K. w Rosji

wanie transportów ludności ewakuowanej. Etap drugi: w zorganizowanych dla Polaków obozach, ochotniczka przejmuje w swoje ręce wszystkie prawie działy pracy. Praca sanitarna, olbrzymi dział oświatowy. Tu P.S.W.K. obejmuje kierownictwo ochronek prowadzi chóry, dwoi się i troi byle tylko zająć, rozerwać, pobudzić do życia odrętwiałą przejściami wojennymi polską ludność cywilną.

Nie rezygnuje równocześnie z powierzonych jej prac wojskowych. Obejmuje służbę wartowniczą i pełni ją z takim zapałem, mimo ciężkich warunków klimatycznych, z takim poczuciem sumiennego wypełnienia obowiązku, że otrzymuje od dowódców pochwały — a całokształt pracy P.S.W.K. zyskuje specjalne uznanie i wyróżnienie przez nasze władze wojskowe.

Obecnie ochotniczka polska w swojej żołnierskiej tułaczce prac specjalnych jeszcze nie podjęła — czeka, odpoczywa, może zasłużywszy sobie na to. Ale odpoczynek jej jest tylko pozorny. Ochotniczka polska korzystając z ciszy, w jakiej żyje chwilowo, czas przeznaczyla na dalszą naukę wojskową, na głębszą specjalizację w powierzonych jej działach pracy, by każdej chwili, każdej sekundy, gdy tylko nadejdzie potrzeba, stanąć do walki, ramię w ramię z mężczyzną. By się na niej nie tylko nie zawiódł, ale by znalazł w niej godnego polskiej tradycji żołnierskiej — towarzysza.

A gdy nadejdzie wielki dzień Powrotu, wróci do Kraju jako jedna z jego podstawowych komórek — świadoma swych obowiązków żołnierza — Polska Kobieta.

Teodozja Lisiewicz

Nie sztuka umrzeć...

Nie sztuka umrzeć, sztuka żyć,
Wśród mrozu, głodu, złości,
Tak łatwo przerwać życia nit —
Nie sztuka umrzeć — sztuka żyć.

Do końca taką gorycz pić,
To szczyt umiejętności!
Nie sztuka umrzeć, sztuka żyć
Wśród mrozu, głodu, złości.

H. TERLECKA
(„Ochotniczka“)



Główny ołtarz w Bazylice Konania.

Kronika W. P. Ś. W.

ROZKAZ NACZELNEGO WODZA

W dniu 29 maja 1942 r., z okazji wyjazdu żołnierzy W. P. z W. Brytanii na Środkowy Wschód, Naczelny Wódz i Minister Spraw Wojskowych, gen. broni W. Sikorski wydał następujący rozkaz:

Żołnierze,

Jedność ideowa Wojska jest jego największą siłą, jego niezawodną ostoją, a zatem jego koniecznością.

Tak się złożyło w obecnym, przelomowym dla dziejów świata momencie, że Polskie Siły Zbrojne odtwarzając się na obczyźnie, pracować musiały i muszą przy pomocy żołnierza formowanego w warunkach skrajnie odmiennych. Wystarczy porównać warunki Wasze z tymi, w jakich powstają, gotując się do boju o wolność i wielkość Polski — oddziały polskie w Rosji, by zrozumieć i ocenić znaczenie tych słów. W następstwie podobnego faktu, jedność wspomniana mogłaby się stać fikcją. Nie dopuście do tego Wy, żołnierze z Wielkiej Brytanii, którzy idziecie stąd na Średni Wschód. Idziecie tam z mego rozkazu nie tylko jako instruktorzy i specjaliści, nie tylko jako technicy wojny nowoczesnej, ale i jako pionierzy jednego, jedynego Wojska Polskiego, służącego wiernie swym sławnym szłachetcom. Dowiedźcie również przez ofiarną służbę, a jak tego zajdzie potrzeba i przez czyn, że pod względem siły duchowej warci jesteście żołnierzy z pod Tobruku i Gazali oraz tych, którzy przez dwa lata wytrzymali mężnie i niezłomnie ciężką niewolę, a przywróceniu bratnim szeregom, stanęli obok Was karnie, by pracować razem zgodnie nad dalszą rozbudową Polskich Sił Zbrojnych.

Z ŻOŁNIERSKIEJ WĘDRÓWKI

(Ciąg dalszy)

Z partii 61 ruszało więc nas w drogę pięćdziesięciu. Francuzi otrzymawszy nauczkę zaraz na wstępie dali nam konwój: 12 żandarmów, 4 podoficerów z wojska i 4 Menelików. Jeden konwojent wypadł niemal na dwóch konwojowanych, ale cóż, kiedy ci konwojenci nie wszyscy z jednakowym przejęciem pełnili swoje funkcje.

Już na stacji Les Salines, którąśmy tym razem przejeżdżali bez przesiadania, ale za to za ciemna, zwało pierwszych kilku. Mieli pójść po omacku do tych gór, które widzieli jadąc do Kefu, ale co potem robić — nie mieli zielonego pojęcia. Wokoło rozciągała się pustynia na setki czy tysiące kilometrów.

Potem po drodze, na każdym wirażu, na którym pociąg zwalnia, wyskakuje paru. Żandarmi się spostrzegli, biegają, liczą, doliczyć się nie mogą. Jeden z podoficerów mruga chytrze ku Polakom:

— *Ça va très bien; ils deviendront très bons comptables...*

(Dobrze idzie: oni staną się dobrymi buchalterami.)

Ale nim się spostrzegli, to już jedenastu zdążyło uciec. Z tymi, co uciekli w Kef — dwudziestu jeden. — Nieźle idzie...

Trzeba było kilka godzin przeczekać aż zdenerwowani żandarmi uspokoją się i poczną kiwać. Ale już jest świt i za dwadzieścia kilka kilometrów Tunis. Dłużej nie można zwlekać. Janko Rzykant ma uciekać z dwoma innymi kolegami. Ma skakać pierwszy — jest ubrany w lotniczą skórę, to nie tak się podrapie. Ma natychmiast się podnieść, by koledzy z wagonu wiedzieli, że nic mu się nie stało; wówczas wyrzucą jego rzeczy związane w paczkę i będą skakać następni.

Janko Rzykant wychodzi w skórze na platformę. Stoi na niej dwu żołnierzy, którzy dyskretnie się wydalają. Pociąg, jak na złość,

idzie szybko. Janko Rzykant schodzi na ostatni stopień. Jest tam niebezpiecznie, bo wzdłuż toru jest rodzaj ogrodzenia z wbitych pionowo kawałków szyn.

Poczmistrz z sąsiedniego wagonu wysuwa łeb:

— *Vous partez? Ça ne me regarde pas* — dodaje uspokajająco.

Rzykant w tej chwili skacze silnym łukiem, by przelecieć ponad sterczącymi szynami „*Oh mon Dieu!*“ — słyszy w ostatniej chwili okrzyk poczmistrza.

Grzmotnęło nim o ziemię, skóra poszła w strzępy, zwicznął ramię, które go bolało długie tygodnie, poobdzierał ręce, ale się podrywa, jak było umówione. Zaraz więc leci paczka z ubraniem, a potem dwie postacie ludzkie, a potem za nimi paczki.

Już pociąg zniknął. Uciekinierzy gromadzą się do kupy. Z rowu patrzą z upodobaniem na te wyczyny jacyś Arabi, którzy przysiedli pod skarpą i posilają się.

Jedzie Arab z wózkiem zaprzężonym w muła. Podróżnicy ładują się pokazawszy mu franki. Konstatują z uciechą, że wraz z nimi już uciekło dwudziestu pięciu, czyli ściśle kontyngent przewidziany na koleżeńskich naradach i przy zbiórce.

Janko Rzykant namawia na krok, który kolegom wydaje się szaleństwem, a jednak jest najprostszym. Przy pierwszej stacji zładują z wózka, czekają na torpedę i jadą z szykiem do Tunisu wykupiwszy bilety. Naturalnie — nie ma głupich, dojeżdżać do Głównego Dworca w Tunisie, gdzie już władze będą zaalarmowane. Janko Rzykant ma wypatrzony taki półprzystanek na przedmieściu, kiedy jeździł do dentysty, na którym nie zatrzymują się pociągi dalekobieżne, ale musi się zatrzymać podmiejska torpeda.

Jakoż zładują — i napaczają się na własny pociąg, który stoi przed zamkniętym semaforem. Stoją przed nimi kanarki i pała papierosy.

Jak szaleni rzucają się torami w bok, na próżno jacyś kolejarze krzyczą, że tamtędy nie ma drogi. Już dopadli do tramwaju i jadą do śródmieścia.

Potem biorą dorożkę konną i jadą do przyjaciela. Ale z nim,

Jestem pewien, że nikt z Was nie zawiedzie. położonego w Nim zaufania że Swe doświadczenie i wiedzę odda na użytek Sprawy tak, by wojska powstające na Środkowym Wschodzie, zdały w pełni egzamin w momencie próby.

Dziękuję Wam wszystkim za dotychczasową nienaganną i dobrą służbę.

W szczególności dziękuję Generałowi Brygady Paszkiewiczowi, którego energia i inicjatywa twórcza, uczyniły 1 Samodzielną Brygadę Strzelców wielką jednostką o wysokiej wartości i poważnych możliwościach rozwojowych. Dziękuję również Generałowi Brygady Kossakowskiemu za znakomite zorganizowanie saperów I Korpusu, za poziom kierowanych przez niego prac fortyfikacyjnych i technicznych oraz usługi położone w dziedzinie motoryzacji. Pragnę również podkreślić zasługi Pułkownika O., który włożył wiele zapału i pracy w formacje wojsk spadochronowych i podziękować Ppułkownikowi S. za jego bezimienną, wytrwałą i owocną pracę w moim Sztabie.

Życzę Wam wszystkim szczęścia żołnierskiego na nowych posterunkach pracy oraz walki. Oby danym Wam było zastąpić się dobrze Ojczyźnie.

Naczelnny Wódz
i Minister Spraw Wojskowych
(—) SIKORSKI
Generał Broni.

WIZYTA DOWÓDCY WOJSK CZECHOSŁOWACKICH

Dowódca Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie gen. dyw. Zającowski złożył w dn. 26 czerwca br. wizytę dowódcy wojsk czechosłowackich na Środkowym Wschodzie gen. Gak w towarzystwie oficerów swego sztabu.

Gen. Zając zatrzymał gości czeskich na śniadaniu.



Z wycieczki żołnierskiej po Palestynie

okazuje się, jest całkiem źle. Po pierwsze — leży ciężko chory. Po drugie — wwalilo się do niego pięciu typków polskich z Marsylii, nie umiejących ani słowa po francusku. Po trzecie — jest on podejrzany policji. Typków jednak wyrzucić nie może, bo nie ma gdzie. Typki też boją się wysunąć nos na miasto i rzną w karty.

Rzucmy zasłonę na to, gdzie spali, co robili. Tylko tyle powiemy, że spali jak królowie, jedli jak książęta. Po wojnie dopiszemy ciekawy rozdziałek.

Janko Rzykant zaczyna myszkować po knajpach portowych przewiadując się o okręt do Algeru (tami dwaj nie mówiąc po francusku mają siedzieć kamieniem w domu).

Pewnego dnia jedzie sobie tramwajem na przedniej platformie. Obok dwóch nobliwych panów. Pan z siwym wąsem zapytuje po przyjacielsku, co to za zabrudzona wstążeczka orderowa w klapie Jankowej marynarki. A to od niepamiętnych czasów została wstążeczka polskiego złotego krzyża zastugi.

— Odznaczenie (Janko zachorował na lakoniczność).

— Ale jakie?

— Czeskie — łże Janko.

— Czy wojskowe?

— Uhm... wojskowe — mruczy Janko.

— Jakto? Przecież Czechi nie miały wojny? — dziwi się ciekawy pan. I już bez większych ceregieli odwijają klapę, pokazując znaczek.

Rezultat — wiadomy. Przywożą go do tego samego „Permanent“, w którym siedział (jama klozetowa w podłodze, zioła dezynfekujące, bób z robakami, ściany czerwone od pluskiew — chodziła czapla po desce...).

Ale jednak jest rozmaitość, bo tym razem wsadzają go do „cachot“. Jest to celka w podziemiach bez światła.

Janko namacał wiadro, poczuł, że w nim jest woda. Pamiętajmy, że to było na wiosnę w Afryce, język miał wyschły z tych emocji. Zbliżył wiadro do ust, poczuł zgniliznę. Licho wie od

jakiego czasu ta woda tu stała. Zużył ją na obchłusnięcie podłogi między ścianą i jamą klozetową ziejącą z podłogi, przewrócił wiadro do góry dnem i siedzi.

Czwartego dnia widać uważają, że męczony człowiek powinien odpowiednio skruszeć do badania. Przychodzą, nakładają mu kajdany, wysyłają go do Sureté Centrale. Ale trafiają w czas obiadu i konwojent wraca z więzieniem do „Permanent“. Nie wtrącają go jednak do „cachot“, bo niebawem ma jechać z powrotem do centrali. Siedzi na ławeczce pod ścianą pilnowany. Kiedy prosi o wodę, oburkują się, że nie mają służby, która by mu mogła usługiwać.

I znowu — zmiana dekoracji. Z Sureté przyjeżdża po więźnia inspektor. Pozwala zejść do sklepiku. Janko kupił dwie duże bułki z konserwą z tuńczyka, wypił wiadro wody, kupił wielką butlę z „Vichy“ i idzie trzymając ją w objęciach.

— Przecie wodę pan wszędzie dostanie — uśmiecha się inspektor. Ale palce chłopca tem mocniej wpijają się w trzymaną butelkę.

Badanie jest krótkie:

— Po co pan uciekał?

— To przecie proste — mówi Janko z ustami napchniętymi tuńczykiem i bułką. Cała jego uwaga jest skoncentrowana nie na badaniu, ale na tym, by prędzej wchłonąć jedzenie, aby prędzej tę bułkę i tuńczyka umieścić w bezpiecznym miejscu, w żołądku.

Przyszedł szef, podał mu rękę:

— Po co pan uciekał?

— Proste, chcieliście mnie wsadzić do obozu koncentracyjnego — mówi żując Janko i popija z dużej butli.

— Ależ czasy przyszły... kręci głową zastępca szefa.

Odwieziono go do więzienia w formie „Sidi Kassem“. Tam zastaje kilku tylko kolegów. Francuzi większość już wysłali do obozu koncentracyjnego, ale że im wstyd było, że dwudziestu pięciu uciekło, więc udali, że wysyłają partiami i tych kilku zostawili na zarybek następnej partii.

(D.c.n.)

Jerzy Łużyc.

ZASTĘPCA DOWÓDCY II KORPUSU

Gen. bryg. Tadeusz Kossakowski mianowany został przez Naczelnego Wodza, gen. br. Sikorskiego zastępcą dowódcy II Korpusu na Środkowym Wschodzie.

IMIENINY PREZYDENTA R.P. I NACZELNEGO WODZA

W dniu Imienin Prezydenta R. P. Władysława Raczkiewicza oraz Prezesa Rady Ministrów i Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego odbyły się we wszystkich oddziałach W.P. na Środkowym Wschodzie uroczyste msze połowe odprawione przez kapelanów wojskowych na intencję Solenizantów.

Po południu zorganizowano w oddziałach pogadanki, w których prelegenci scharakteryzowali postacie Pana Prezydenta i Naczelnego Wodza oraz ich prace dla sprawy polskiej.

PIELGRZYMKA UŁAŃSKICH JANÓW

Niedawno przeżyli ułani Krechowieccy piękną uroczystość złożenia votum Najświętszej Pani, jako swej Patronce, w Bazylice Grobu Chrystusa w Jerozolimie, zaś dzień 24/VI br. przyniósł wszystkim Janom krechowieckim uroczystą pielgrzymkę do miejsca narodzenia Patrona — św. Jana w Ein-Karem.

Czy któryś z Janów, rozrzuconych rok temu po zimnych bezdrożach Rosji, przypuszczał, że dzień swego Patrona będzie mógł obchodzić na Ziemi Świętej? Serdeczne słowa życzeń, które dowódca pułku skierował do Janów ułańskiej rodziny rozpoczęły podniosłą uroczystość. Autobusami udano się do Ein Karem zatrzymując się na dziedzińcu kościoła Narodzin Św. Jana. Po Mszy Św., Komunii i po płomiennym kazaniu, ks. kan. Pietruszka poświęcił amarantowo-białą proporczyk z piękną żółtą tabliczką, który Janowie pułku ofiarowali swemu Patronowi. Podczas Mszy Św. trębacze pułkowi odegrali kilka utworów kościelnych. Następnie „szwadron Janów“ zwiedził kościół Nawiedzenia Marii Panny i udał się do Jerozolimy celem zwiedzenia Wieczernika i kościoła OO. Assumpcjonistów. O godz. 13.30 odbył się obiad ułański, na którym obecni byli ks. kan. Pietruszka, O. Borkowski, O. Studziński, komendant placu m. Jerozolimy i szereg innych gości. Dowódca pułku jeszcze raz złożył serdeczne ułańskie życzenia Janom i podziękował gościom za ich udział w tej uroczystości. Ks. Pietruszka w barwnym przemówieniu odmalował obraz potężnej indywidualności św. Jana, jako doskonały wzór do naśladowania. Podkreślił również, że uroczystość ta jest jeszcze jednym dowodem, że Pułk Ułanów Krecho-

wieckich mając przed oczyma swe wielkie tradycje, chce zaczerpnąć z Ziemi Świętej tyle siły i hartu ducha, by móc przejść jak najwaleczniej drogą powrotną do Ojczyzny.

Intencje pielgrzymki najlepiej zobrazuje czterowiersz, wyryty na tabliczce ofiarowanego votum:

„O święty nasz Patronie, zebranych tu Janów
Racz chronić swą opieką w tej krwawej poźodze
I Krechowieckich, zawsze wiernych Ci ułanów
Poprowadź do Ojczyzny po Zwycięstwa drodze“.

Wspólna fotografia z gośćmi i przemarsz „szwadronu Janów“ przy dźwiękach muzyki trębaczy pułkowych przez Jerozolimę zakończyły tę piękną uroczystość. (x)

Odpowiedzi Redakcji

B.O-a Dziękujemy serdecznie za wiersze. W części już skorzystaliśmy. Prosimy o więcej.

T. L-cz. Wiersz zamieściliśmy w poprzednim numerze, artykuł drukujemy obecnie. Dziękujemy i prosimy o pamięć.

J. Kr. Dziękujemy za wiersze. Jeden już wydrukowany.

Strz. G. W-cz. Dziękujemy za list i przesłane wiersze. Do druku jednak nie mogliśmy ich przeznaczyć.

Chor. R. M. Za nowy wiersz dziękujemy. Zachowujemy w tece.

WAW. Dziękujemy serdecznie za ciekawe i napewno w dużej mierze słuszną uwagę. Sekcja podobnie rozumie swe zadania, jednak może je rozwiązywać tylko stopniowo. Takie zagadnienia jak wewnętrzne życie świetlic mogą być rozwiązywane raczej przez zainteresowane obozy ich własnym wysiłkiem niż centralnie, co nie wyłącza pomocy Sekcji. Prosimy o dalsze uwagi, na piśmie, albo najlepiej ustnie, gdyby czas pozwolił Panu na to.

J. W-w. Dziękujemy serdecznie za „Poemat o Polsce“ i za dwa wiersze okolicznościowe. Te ostatnie, niestety, otrzymaliśmy już po zamknięciu numeru, w którym byłyby na miejscu. Zato z „Poematu“ skorzystamy napewno.

Sierz. z c. T. B. Dziękujemy za interesujące uwagi. Skierowaliśmy je do właściwych władz, które porozumieją się z Panem bezpośrednio. Proszą jednak o podanie Pańskiego dokładnego przydziału.

Jerzy B-i. Za list, wiersze i nadzieję dalszych dziękujemy, te nadesłane jednak nie zostały zakwalifikowane do druku.

Franc. M-ki. Serdecznie dziękujemy za bardzo staranne wiersze. W tej Ojczyźnie Omar Chajjama jest dobrze oddany nastrój, niestety rytmika szwankuje. Może to by się dało poprawić?

Zd. B-l. Dziękujemy serdecznie za piękny wiersz. Oczywiście drukujemy.

WALKA O EGIPT

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Wypadki wojenne przybrały obecnie tempo bardziej przyśpieszone tak, że zanim tygodniowy przegląd wydarzeń dojdzie do rąk czytelnika, traci dużo na aktualności. Sądząc, że czytelnik uwzględni tę okoliczność, zaznaczamy, że piszemy te słowa w chwili nadejścia wiadomości o wycofaniu się wojsk brytyjskich z Marsa-Matruh.

8 armia brytyjska po upadku Tobruku prowadziła walki opóźniające wycofując się na wschód. Oddziały brytyjskie nie stawiały poważniejszego oporu na samej granicy Egiptu, gdzie umocnienia w trójkącie Bardia-Sollum-Halfaya są łatwiejsze do obrony od strony Libii niż od strony Egiptu. W sobotę i w nocy z soboty na niedzielę (z 27 na 28 czerwca) toczyły się ciężkie walki na południe i na południowy wschód od Marsa Matruh, którą to miejscowość

Rommel usiłował obejść oskrzydłującym manewrem od południa. W niedzielę rano okazało się, że droga wiodąca z Marsa Matruh w stronę Aleksandrii może zostać przerwana przez wojska „osi“ na wschód od Marsa Matruh. Wówczas gen. Auchinleck dał wojskom brytyjskim, którym groziło okrążenie, rozkaz opuszczenia tej strefy. W Londynie wyrażają przekonanie, że gen. Auchinleck cofa się w porządku i według określonego planu, czeka bowiem na nadejście dalszych posiłków. Według ostatnich wiadomości posiłki te nadchodzą nieustannie. M. in. walczy już na froncie ekspedycyjny korpus nowo-zelandzki oraz nowe eskadry lotnictwa amerykańskiego.

Wojska „osi“ po raz drugi znalazły się w Egipcie. Dwa razy też wojska sprzymierzone były w Benghazi. Zachodnią

Pustynię nieraz przyrównywano do boiska piłki nożnej. Raz obie drużyny walczą przy jednej bramce, to znowu przerzucają się błyskawicznie do bramki drugiej. W r. 1940 wojska włoskie gen. Grazianiego stały już pod Marsa Matruh. Uderzenia flankowe wojsk gen. Wavella rozbiły jednak niemal całkowicie ówczesną afrykańską armię Grazianiego. Wojska brytyjskie ścigały ją aż za Benghazi.

Dziś oczywiście sytuacja jest znacznie groźniejsza. Włochów zastąpili częściowo Niemcy, którzy przybyli do Afryki z dywizjami pancernymi, artylerią, piechotą i lotnictwem. Ich działa 88 mm. zdobyły już nieraz w walkach czołgów decydującą przewagę. Gen. Rommel, ostatnio mianowany marszałkiem polowym, okazał się wodzem ambitnym i żywym. Jego siła uderzenia jest poważna. A jego cel jest jasny: zdobycie Suez i bogatego Egiptu.

Uwzględniając to wszystko nie pocieszamy się nadmiernie w tej sytuacji, jak to chłodno zaznaczyła również „Parade“, takimi uwagami, że linie zaopatrzeń wroga stałe wydłużają się, że zagadnienie dostaw staje się dla niego coraz trudniejsze itd. Spostrzeżenia tego rodzaju są trafne, jak i to, że ofensywa Rommela nie jest pozbawiona wielkiego ryzyka, lecz wiemy, że na to, by wygrać walkę o Egipt, trzeba na uderzenie odpowiedzieć przeciwuderzeniem, na natarcie przeciwnatarciem. Każdy żołnierz to rozumie i tylko w ten sposób wyobraża sobie odpowiedź na ostatnie niepowodzenia w Afryce.

Tak też pojmują tę sprawę w Londynie, w Waszyngtonie i w Kairze. Premier Churchill przed odlotem ze Stanów Zjedn. był obecny wraz z prezydentem Rooseveltem na zebraniu przedstawicieli obu stronictw politycznych w Stanach i oświadczył, że jest spokojny o los Egiptu, który będzie obroniony.

A w Kairze jedno z czasopism arabskich „Akher Saa“ ogłosiło wywiad z pewną osobistością egipską, która oświadczyła: „Zawsze byłem zdania, że Egipt jest nie do zdobycia od strony zachodniej tzn. od strony pustyni. Łatwiej jest najeźdźcy dostać się do niego od strony granicy wschodniej niż przełamać trudności na Pustyni Zachodniej i to zarówno z punktu widzenia techniki jak i strategii, co można by łatwo uzasadnić“. „Akher Saa“ dodawało, że od doliny Nilu oddziela wroga przestrzeń 400 km piasków pustynnych.

Premiera Churchilla powitały w Londynie na tle wydarzeń w Libii głosy pewnej krytyki, czy niezadowolonia ze sposobu prowadzenia wojny. Wyraziły się one nawet w zgłoszeniu w Izbie Gmin wotum nieufności. Jest to pierwszy tego rodzaju wniosek wysunięty przeciw rządowi znakomitego męża stanu od czasu utworzenia jego gabinetu wiosną r. 1940. Kontrola parlamentarna opiera się na krytyce, a krytyka wyraża się nieraz w możliwości przeciwstawienia rządowi wotum nieufności. Oczywiście nikt nie wątpi w Londynie, że Churchill nie tylko odeprze wniosek niezadowolonych, ale odniesie w Izbie Gmin druzgocące zwycięstwo, co oczywiście nie wyłącza zmian personalnych, jakie obecna sytuacja może wprowadzić do kierowniczego aparatu W. Brytanii. Jedną osobą wszakże w Anglii jest dziś nie do zastąpienia, a jest nią sam Churchill. Być może, gdy słowa te ukażą się w druku, czytelnicy będą już znali zapowiadaną mowę premiera Churchilla, jak i przebieg rozprawy w Izbie Gmin.

Że jednak zarówno Churchill jak i prezydent Roosevelt zdaje sobie sprawę z niezmiernie ciężkiej fazy wojny, w jaką weszliśmy, o tym świadczy komunikat wydany w Waszyngtonie i Londynie o wynikach podróży premiera W. Brytanii do Ameryki.

Stwierdzał on, że obaj mężowie stanu zapoznali się zarówno z „korzystnymi jak i niekorzystnymi“ okolicznościami obecnej sytuacji. Bynajmniej też „nie lekceważą oni obecnych zadań“.

Komunikat wywodził dalej, że w zakresie produkcji obaj przewodcy otrzymali „optymistyczny obraz“. Miesięczna wydajność przemysłu wojennego „nie osiągnęła jeszcze maksymalnego poziomu, lecz zbliża się do cyfr wytniętych w planie“. Komunikat poświęcał następnie dłuższy ustęp zagadnieniu transportów. Stwierdzał, że walka podwodna zadaje poważne straty żegludze sprzymierzonych, lecz produkcja nowego tonażu wzrasta z miesiąca na miesiąc. Powzięto też kroki, by zmniejszyć straty sprzymierzonych na morzu.

Następnie jednak komunikat podkreślał dobitnie: „Narody sprzymierzone nigdy nie posiadały z sobą tak ścisłego i szczegółowego porozumienia w sprawie planów co do wygrania wojny jak obecnie... Można powiedzieć, że nadchodzące działania, które były szczegółowo omawiane na naradach waszyngtońskich doprowadzą do odcięcia sił niemieckich od natarcia na Rosję“. Komunikat podkreślał rolę Rosji i Chin w obecnej wojnie i stwierdzał, że choć prezydent Roosevelt i premier Churchill widzieli się już w sierpniu i grudniu 1941 r., lecz „obecny obraz sytuacji ogólnej lepiej zapowiada zwycięstwo niż to było widoczne już w sierpniu i grudniu 1941 r.“

Jak gdyby dla uzasadnienia tych tendencji ogłoszono wiadomość o powołaniu gen. Eisenhowera na dowódcę amerykańskich sił lądowych w Europie i ustanowieniu jego kwatery głównej w Londynie. Jest to dowód, że Stany Zjedn. przygotowują się do walk lądowych na kontynencie europejskim, o czym świadczy też napływ eskadr amerykańskich nie tylko do Anglii ale i na Środkowy Wschód.

W ubiegłym tygodniu doszło też do trzeciego wielkiego nalotu ponad tysiąca bombowców na Niemcy. Tym razem celem natarcia była Brema, która zresztą w ciągu 3 dni była bombardowana 3 razy.

Wchodzimy niewątpliwie w okres silnego wzmoczenia walk, o czym świadczy też nowe uderzenie niemieckie na froncie sowieckim na odcinku Kurska. Po zajęciu Kupiańska, na wschód od Charkowa, co oddawna było celem ofensywy gen. von Bocka, podjęcie przez Niemcy działań zaczepnych od strony Kurska jest wyrazem nowego manewru kleszczowego, który idąc z północy i południa ma okrążyć główne siły marsz. Timoszenki, walczące pod Charkowem, odciąć je od głównych sił sowieckich pod Moskwą i otworzyć następnie drogę wojskom niemieckim na Rostów w stronę Kaukazu.

Choć Sewastopol nadal się broni, choć wojska niemieckie napotkały dotychczas na silny opór i nie osiągnęły wyznaczonych celów, letnia ofensywa Hitlera w Rosji rozpoczyna się na dobre.

D. I.



Ambicja i Rzeczowość

Nim człowiek czegoś dokona, nim przystąpi do czynu, powinien z zasady zastanawiać się nad tym, dlaczego tego chce, i jak cel swój najlepiej osiągnie. Czynią tak i całe zbiorowiska, grupy społeczne, czy instytucje. Tak np. Wojsko Polskie, jeszcze za czasów pokojowych, w wolnej ojczyźnie, utworzyło specjalny Instytut Wiedzy Wojskowej, który miał na celu rozważanie m.in. i tego rodzaju spraw teoretycznych.

W tym instytucie zaproszeni profesorowie uniwersyteccy, na ogół nie mający nic do czynienia z pracą wojskową, wygłaszali interesujące i pożyteczne odczyty na temat tego, co może powiedzieć nauka o różnych sposobach postępowania, czy działania w wojsku. Tak więc prof. psychologii Witwicki mówił o znaczeniu inteligencji w zastosowaniu do pracy wojskowej, a prof. filozofii Kotarbiński — o różnych zasadach taktycznych i strategicznych stosowanych w dziejach wojskowości lub w innych rodzajach walki. Każdy na swój sposób dzielił się owocem własnych dociekań i pobudzał niewątpliwie swych słuchaczy do rozmyślań, które miały tylko jedno na celu: podnieść ich sprawność działania.

Trudno przypuścić, aby w warunkach wojennych można było postępować równie systematycznie i równie skutecznie, zwłaszcza podczas akcji wojennej. Nie mniej, na szczęście, wojna nie składa się z samych akcji wojennych, przynajmniej dla jednych i tych samych formacji, a między jedną akcją a drugą bywają dłuższe przerwy, które mogą być wykorzystane na wszelakiego rodzaju naukę, wyszkolenie i zastanowienie, wiodące do doskonalenia się żołnierza pod każdym względem. Do rozmyślań i zastanowienia się pobudza przede wszystkim otaczające życie, tj. te zjawiska z otaczającego nas środowiska, które zadziwiają lub dolegają, wzruszają lub niepokoją. I zagadnienie, i jego rozwiązanie w warunkach wojennych występuje dość przypadkowo, czasem nasuwa je rozmowa, czasem wzięta do ręki mimochodem książka. Tam jednak, gdzie życie jest stawką działania, często samorodnie powstają refleksje, m.in. nad pobudkami, którymi kierują się ludzie w swym postępowaniu.

Już starożytni Grecy doszli do wniosku, że bywają trzy zasadnicze rodzaje pobudek działania ludzkiego: względ na to, co jest chwalebne lub naganne, względ na pożyteczność lub szkodliwość czynu, wreszcie względ na przyjemność lub przykrość, jaką może sprawić takie a nie inne zachowanie się.

Jedną z tych pobudek — pierwszego rodzaju — bywa często ambicja.

Język potoczny jest dość chwiejny w użyciu słowa „ambicja“, a nawet zachodzą tu wyraźne sprzeczności. Ambicja jest rzeczą zasadniczo chwalebną i pożądaną. Zwłaszcza w wojsku. Można powiedzieć, że tylko żołnierz ambitny jest naprawdę bitny. „To ambitny żołnierz, on się nie cofnie“ — mówimy z uznaniem.

Z drugiej jednak strony mówi się o ambicji jako o niebezpiecznej przywarze. „On to zrobił tylko przez ambicję“, znaczy, że odmawiamy komuś szlachetniejszych pobudek działania. „Wybujała ambicja“ bywa podawana jako motyw złych czynów. U podstaw zbrodni Hitlera leży zapewne tylko ambicja. Język dopuszcza i takie zwroty, w których się o kimś mówi w sensie dodatnim, że nie jest człowiekiem ambitnym, tzn. że nie żywi próżnych i fałszywych pożądań godności i zaszczytów, wyróżnień i stanowisk. Mówi się tak, myśląc wówczas po prostu, że chodzi tu o człowieka skromnego. Nie znaczy jednak, by

był wyzbytym wszelkiej ambicji, wszelkiej godności własnej, i nie zasługiwał na żaden zaszczyt, ani wyróżnienie. Po prostu jest to człowiek, który nie lubi się afiszować ze swymi pragnieniami i nie dba o pozory.

Ta dwoistość znaczenia utrudnia w pewnym stopniu pracę wychowawcy, staje on bowiem przed zagadnieniem, czy ma wpajać czy też wykorzeniać ambicję. Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby można sprawę rozwiązać stwierdzeniem, że ambicja do pewnych granic jest zaletą, a po przekroczeniu tych granic staje się wadą. Zapewne, jest w tym część prawdy. Już starożytni myśliciele, filozofowie greccy, doszli do przekonania, że najlepiej i jednocześnie najtrudniej jest trzymać się tzw. złotego środka, tzn. zachowywać umiar. Prawda ta, pomimo upływu niejednego tysiąclecia, nic nie straciła na wartości. Także i ambicja nie powinna wpadać w przesadę. W atmosferze wygórowanych ambicji człowiek zatracą poczucie własnych proporcji. Działanie jego traci na sprawności.

Jednak sama wielkość ambicji, jej napięcie, nie rozwiązuje sprawy. W bohaterach spod Termopil, czy z Westerplatte czcimy bowiem wielką, wręcz olbrzymią, ale szlachetną ambicję, a człowieka słabego nawet niewielką lecz niezdrowa ambicja może sprowadzić na manowce. Zgrywa się wówczas na czczych i próżnych gestach, często zawadiackich, podejmowanych zazwyczaj tylko dla czystego popisu.

Nie w natężeniu ambicji leży więc możliwość jej ujemnego działania, ale w jej charakterze. Zła ambicja nie musi być ambicją wielką. Jest zła, jeżeli płynie z próżności, z egoizmu, jeśli ma na celu tylko samą ambitną jednostkę. Złą ambicję nazywamy także fałszywą, ponieważ temu, kto jest nią dotknięty, wypacza ona, fałszuje obraz rzeczywistości, „zasłępia“.

Jeden z najwybitniejszych umysłów ludzkich, choć niemal dwa i pół tysiące lat temu żyjący, filozof Arystoteles, w swej „Etyce“ powiada, że ambitnym w sensie fałszywej ambicji jest człowiek, który grzeszy wobec cnoty, która nie ma ustalonej nazwy, ale którą określić możemy mianem *rzeczowości*, opromienionej poczuciem *godności*.

Tak pojęty człowiek rzeczowy działa lub stara się działać tak, jak działać trzeba i wtedy, gdy działać trzeba, z nakazu rozsądku i przekonania wewnętrznego o wartości swego czynu, niekiedy ze zrozumienia konieczności zewnętrznych, z szlachetnej pobudki obrony rzetelnych wartości, z uczuć miłości kraju, czy bliźniego, — a w ostatnim chyba rzędzie ze względu na to, co inni o tym powiedzą, czy pomyślą, czy go spotka za to nagroda itp. Można być pewnym, że człowiek rzeczowy mniej jest narażony na pokusy niższych instynktów ludzkich, mniej powoduje się namiętnościami, a przez to mniej narażony jest na błędy w postępowaniu, które tak łatwo gubią zbyt ambitnego i pozbawiają go owoców, na których mu najbardziej zależało, to znaczy zaszczytów, sławy i godności.

Tak też przechwałka kruszy zasługę dzielnego, a lamowanie umniejsza wartość cierpienia. Uznanie natomiast, niejako samo przez się, przypada w udziale człowieka dzielnego a skromnego, choć on o nie wcale nie dbał i o nie nigdy nie zabiegał.

Człowiek rzeczowy działa zatem z pobudek chwalebnych i zgodnie z poczuciem godności własnej. Fałszywie ambitny zaś jest ten, kto jest zbyt chciwy na zaszczyty, kto tych godności chce dla siebie ponad należytą miarę, któremu przy tym nie o rzecz samą chodzi, a o efekt, jaki w oczach bliźnich może przy okazji osiągnąć.

Człowiek fałszywie ambitny działa pod wpływem po-

kus, jakie nasuwa każdemu próżność, pycha, poczucie często niesłusznej wyższości nad innymi itp. niższego rodzaju pobudki działania. Człowiek przesadnie lub zwłaszcza fałszywie ambitny, dąży bowiem do tego, aby za wszelką cenę się wyróżnić, stanąć wyżej od innych, zaimponować wszystkim, móc się szcycić swymi wyczynami i doznawać szczególnych, wyjątkowych względów czy objawów czci, tzw. zaszczytów czy honorów.

Mniej może niebezpieczne jest stawiać sobie ambitne cele, choćby wygórowane, jeśli się będzie rzeczowo podchodzić do ich realizowania. Wówczas niezbędny polot ambicji w dążeniu do rzeczy wielkich zostanie ujęty w należyte wędzidła realnych możliwości, celowości, solidności i tego wszystkiego, co składa się na rzeczowość. Wytrobione w takiej szkole życia poczucie odpowiedzialności reguluje zbytnią gorączkowość i powierzchowność w działaniu dając wyniki realne, cenne, tym cenniejsze i bardziej zasłużone, im większym nakładem celowego wysiłku osiągnięte.

Trzeba być ostrożnym przy lokowaniu swej ambicji. Dobry jest więc np. umiarkowany animusz na przepustkę, który niech się wyrazi właściwym językiem pieśni czy humoru. Duch bojowy lepiej zachować na służbę i pracę wojskową w polu, gdzie go nigdy nie za dużo, o ile tylko ujęty jest w należyte klamry dyscypliny i celowości.

Zastanawiając się nad przyczynami nadmiernej wybujałości ambicji fałszywej, źle ulokowanej u ludzi dorosłych, psychologowie nowocześni doszli do przekonania, a zwłaszcza odnosi się to do teorii Adlera, b. ucznia Freuda, że

przyczyną jest przede wszystkim tzw. poczucie własnej niższości lub krótko mówiąc kompleks niższości — człowieka zbyt ambitnego w stosunku do swego otoczenia. Że jest to zatem człowiek, który zazwyczaj w swej młodości został w dotkliwy sposób poniżony, bądź też upośledzony w swym rozwoju w stosunku do otoczenia. Pozostał mu po tym przeżyciu przykry uraz, często już potem nieświadomiony, jak się to mówi zepchnięty w podświadomość, i na jego podłożu wyrasta i rośnie z czasem chorobliwe wręcz dążenie do tego, aby czynami niezwykłymi, często tylko pozornie niezwykłymi, swą pozorną, a często i rzeczywistą niższość ukryć przed oczyma bliźnich. Chce, by ludzie o niej zapomnieli, o ile byli świadkami jej stwierdzenia lub by jej nie zauważyli, by im nawet na myśl przyjść nie mogła — i w tej niezdrównej obawie przed mniej lub bardziej urojoną rzeczywistością postępuje tak, iż osiąga niekiedy wynik wręcz przeciwny temu, jaki zamierzył.

Potrafi wtedy swe postępowanie upozorować czasem Bóg wie jak szlachetnymi pobudkami. Ale zawsze zdemaszkuje się tą — powiedzmy — fałszywą grą z Panem Bogiem jako uosobieniem bezwzględnej Prawdy, gdyż przed okiem najwyższej Sprawiedliwości i przed okiem trzeźwego człowieka, wspartego przez wiedzę nowoczesną, nieraz będącą tylko rozwinięciem mądrości znanej już od niepamiętnych czasów, nie uda się całkiem ukryć żadnej przywary istotnej, a zwłaszcza zwykle tak oczywistej, jak nierzeczowość lub próżność.

On.

ZIEMIA PRZYCIĄGA DO SIEBIE

Ruch. Wszędzie wre praca bez przerwy.

Olbrzymy, stojące na trawie, przygotowują do lotu ich opiekunowie, niebiescy chłopcy z R.A.F.'u. Samoloty, stojące w hangarach, obsiedli mechanicy, niczym mrówki chrząszcza. Kręcą, pasują, czyszczą, malują. Nieustanny hałas, śmiechy i dudnienie, przygłuszane co pewien czas potężnym warkotem zapuszczonego gdzieś przed hangarem silnika. Przez otwarte wrota wpada pęd powietrza i kurzu — i ryk silnika cichnie zlewając się z bezustannym brzęczeniem roju, szybującego bez wytchnienia w przestworzach.

* * *

Duża jasna sala. Na długich stołach leżą rozciągnięte jakieś łachmany. Żółte i białe. Obok uśmiechnięci niebiescy chłopcy.

W tej sali rodzi się spadochroniarz. W myślach czuje się nim już dawno. Usprawnione długotrwałym — „małpim“ zaiste treningiem mięśnie zdają się być mięśniami zawodowego skoczka. Ale to wszystko, jak dotąd, teoria, tylko teoria. Nawet te skoki przez dziurę z pierwszego piętra na parter — na trociny, nawet ta huśtawka na linach, nawet te długie wywody — jak „gasić czaszę“ lub hamować wahnienia. ... To fraszki! Dopiero gdy nadchodzi chwila, kiedy stajesz, bracie, oko w oko ze spadochronem, któremu masz zamiar powierzyć swoje drogocenne życie na przestrzeni kilkuset metrów, dopiero wtedy rodzisz się prawdziwym spadochroniarzem.

* * *

Naprząd linki. Pieścisz je niemal myśląc w duchu — czy aby wytrzymają?

Potem sama „czasza“ czyli płachta. Każdy poszczególny płacik (a jest ich dosyć) badasz bystrym wzrokiem, wachasz niemal — czy aby jakiejś dziurki broń Boże nie ma.

Z boku stoi niebieski chłopiec R.A.F.'u i uśmiecha się na pół troskliwie.

Czasza już zwinięta i wtłoczona do futerału, do którego przywiązuje się ją kawałkiem sznurka.

— Czy aby szpagat wytrzyma? — pytasz niespokojnie.

Słońce zaczyna przypiekać. Niebieskie niebo uśmiecha się przyjaźnie, zachęcająco.

Przed hangarem szną ludzi. Khaki mundury odbijają się od niebieskich chłopców i niebieskiego nieba. Do zielonej trawki pasują daleko lepiej ... Myny zadzierzyste, że bez kija nie przystępuj, ale w oczach czai się niepewność... Na plecach wielkie garby spadochronów. Szelki ściśle zapięte nie pozwalają wyprostować się swobodnie. Głosy dziwnie podniesione:

— Gdyby mi kto dwa lata temu ...co, — rok temu powiedział, że będę skakał, to ... —

A to już — niedługo, za chwilę niemal! Na trawnik wtłacza się szaro-czarna „krowa“. — Silnik ryczy; trawa przyłgnęła do ziemi.

Ośmiu ludzi znika w czeluściach kadłuba.

* * *

Siadamy plecami oparci o cienkie ścianki. Czterech z jednej strony, czterech z drugiej. Między nami okrągła dziura, przez którą widać uginającą się od podmuchu śmigłą trawę; nad nami, niczym kura pilnująca troskliwie piskląt, uśmiechnięty niebieski chłopak o rudej czuprynie — instruktor.

Cisza. Tylko samolot drży jak w febrze. Chwila — i trawa w otworze dziury zaczyna uciekać do tyłu. Coraz szybciej, szybciej... Ciemno. Trochę duszno. Silnik ryczy, szelki gniołają, podłoga twarda jak nieszczęście. I nagle orientujemy się, że już lecimy, że trawa została daleko pod nami.

Przez dziurę, jak na ekranie, widać ziemię. Lotnisko z

mrówkami-ludźmi, uganiającymi się po nim, i chrząszczami-samolotami, drzemiącymi w słońcu. Jakieś domki z czerwonej, cegły, stawek, drzewa... A wszystko to coraz mniejsze, coraz bardziej przypominające zabawki ze sklepowych wystaw.

Lecimy. Równy, prawie bez wstrząsów. Miny poważne, „nadrabiane“. Ktoś opowiada kawały, ktoś próbuje straszyć i kruka odstawiać, a każdy myśli: — Jak to będzie? Czy przy skoku nie wyrznię łbem o burtę dziury? Czy matka-ziemia nie okaże się twarda przy lądowaniu? Czy... czy... A grunt, by nikt nie poznał, że ma lekkiego boja... A możeby jednak nie skoczyć, jeszcze czas — i aż wszystko się wstrząsa w człowieku na myśl, że coś takiego mógłby zrobić, i że aż dreszcz przechodzi, czy aby ktoś nie zauważył, iż coś takiego mogło mi na myśl przyjść.

— Jeszcze czego! Kto mówi, że się boję? Jakbym się zawziął, to i bez spadochronu mogę!

Krajobraz oglądany przez dziurę zmienia się ciągle — i nagle, ni stąd, ni zowąd, uprzytamnia sobie człowiek, że gdyby tak może trochę więcej benzyny, to można by zaraz lądy i morza przeskoczyć i miast tu — tam, nad naszą ziemią rozwinąć swoje skrzydła.

— Action station!!

Rany Boskie — to już. Komenda instruktora wrywa z marzeń. Wzrok przeskakuje gwałtownie z mirażu nadwiślańskich pól i sadów na lampki, umieszczone nad groźną dziurą. Pali się czerwona. Za chwilę zabłyśnie zielona i...

Pierwszy ze skoczków spuścił już nogi w dziurę i siedzi wpatrzony w instruktora jak w obraz. Boże, spojrzeć teraz w dół. Może się skoku odechcieć i niedobrze zrobić i w ogóle można kilka pięknych kozłów machnąć, w linki się zaplątać.

Drugi skoczek też już gotów. Ktoś przypina mnie z tyłu do pasa biegnącego wzdłuż samolotu. Cisza. Każdy w tym ułamku sekundy przypomina sobie, co ma zrobić.

Już pierwszego nie ma. Zniknął w czeluściach coraz groźniejszej dziury.

— Two... Three... Four... Container... Five...

Ułamki sekundy lecą. Co chwila jakaś głowa znika w otworze. Co chwila jednego mniej. Jak urzeczony patrzę na podnoszącą się i opadającą za każdym razem rękę instruktora. Jestem coraz bliżej dziury... Coraz bliżej... Już spuszcza w nią nogi... Pode mną stumetrowa otchłań. Staram się nie myśleć o tym.

— Six... Seven...

To już!

Lekki wstrząs. Otwieram oczy. Bujam swobodnie w powietrzu. Nade mną szeroko rozpięta żółta płachta, —

pode mną dziwnie falująca zielona ziemia. Drzewa, trawa i ludzie małe mrówki, pełzające po niej.

Czuję się strasznie wesoły. Pogwizduję ochoczo. Szeroko otwartymi oczyma chłonę roztaczający się wokoło widok. W pół otwarte z emocji usta łykają świeże, aromatyczne powietrze. Zdaje się, że stoję w powietrzu, sam zawieszony w przestworzach, że to nie ja, lecz ziemia tak dziwnie kiwa się wokoło. Mam czas — murawa przecież jeszcze tak daleko... Wygodnie sadowię się w szelkach. Piersi roz-piera radość — pierwszy skok odbyty.

Już?

Z dołu ktoś wrzeszczy przez megafon:

— Nogi razem... Skręć się pod wiatr...

Spoglądam z pewnym żalem i zdziwieniem na ziemię. Rany Boskie — jak ona już blisko. Dopiero co bujałem beztrosko wśród przestworzy, a tu nagle szeroki horyzont wypełnił się zielenią trawy i drzew, mrówki—ludzie wyrosli do wielkości jamników, a ja sam lecę z niesamowitą szybkością w dół. Lądowanie tuż — szybko. Trzeba się jeszcze podciągnąć, wykręcić pod wiatr... Zawsze bezpieczniej zębami w nią rznąć, niż krzyżem...

Już... już... Myśli wirują w głowie. Byle nogi nie złamać. Byle... Beztroski nastrój przysł. Znowu ktoś ryczy przez megafon. Trawa w oczach rośnie. Podciągam się, „gaszę“...

Bęc!

Naprząd pięty, potem siedzenie, wreszcie głowa. Koziołek do tyłu, przepisowy.

Gramolę się wśród zwoju linek, ściągając czaszę, otrząsając się jeszcze z wrażenia, wywołanego gwałtownym zetknięciem się z matką-ziemią. Oj, twarda ona, twarda. Ruszam delikatnie wszystkimi kończynami. Nic nie boli, wszystko w porządku.

Ktoś biegnie i — jak tam? — krzyczy już z dala. Zwijam starannie płachtę, która mnie na przestrzeni tych stu metrów dźwigała.

— Doskonale — odkrzykuję.

Nastrój wrócił. Radość rozszadza piersi.

**

A na ostatek w księżde pamiętkowej spadochroniarza zapisujesz zamasyście swe imię i nazwisko, przy nim zaś znaczące „OK“. Jak żurawiejka chce:

„Ze stu metrów w matkę ziemię rżnię piętami lub siedzeniem!“

Rozglądasz się bojowo wokoło i pytasz zaraz:

— A może by tak dziś jeszcze raz skakać?

I podoba to ci się.

Jacek Brzezina
(„Polska Walcząca“)

WIADOMOŚCI Z POLSKI

STRUKTURA ADMINISTRACYJNA GENERAŁ-GUBERNATORSTWA

Generał-Gubernatorstwo podzielone jest na pięć dystryktów: warszawski, krakowski, lubelski, radomski i galicyjski (później przyłączony); te zaś dzielą się na 55 starostw powiatowych i 7 starostw grodzkich w większych miastach. Obszar starostw powiatowych waha się, w zależności od charakteru danego okręgu — przemysłowego, rolniczego lub górskiego — między 2.000 a 5.000 km, kw., obejmując zaludnienie od 400 do 500 tysięcy.

Ilość urzędników starostwa powiatowego wynosi przeciętnie 40 do 50, oczywiście wyłącznie Niemców z różnych okolic Rzeszy i pewnej liczby volksdeutsch'ów, niezbędnych ze względu na znajomość języka. Zakres działalności starostw powiatowych pokrywa się z interesami zachłannego

okupanta: dostarczenie kontyngentów, wzmożenie wydajności gleby i intensywności uprawy, podniesienie chowu bydła, budowa i oczyszczanie dróg, wyznaczanie podwód dla odstawiania drzewa z lasów i kontyngentów zbożowych do składów centralnych.

Jedynie niższe szczeble administracyjne — wójtów i sołtysów — obsadzone są przez Polaków lub Ukraińców.

MONOPOLE W G. G.

Z dawnych instytucji polskich zachowali Niemcy niemal bez zmian to co im dogadzało, co im zapewnia środki finansowe i możliwość wypompowywania z kraju surowców potrzebnych Rzeszy. Zachowane więc zostały bez zmian monopole: tytoniowy, solny, spirytusowy i zapalczany; wprowadzono nowe monopole: olei mineralnych i słodczy

(cukier i towary słodkie); monopol loteryjny zaś zastąpiony został monopolem tzw. „gry szczęścia“ (Glueckspiel); ogółem czynnych jest obecnie 7 monopolu. Nowe monopole — olei mineralnych i słodczy — są czysto handlowe; pozostałe — pełne, tzw. obejmujące zarówno wytwarzanie jak i sprzedaż.

Pierwszy uruchomiony został już w listopadzie 1939 monopol tytoniowy — najbardziej dochodowy ze wszystkich, oparty w $\frac{3}{4}$ na produkcji krajowej (krakowskie i lubelskie gatunki „Kentucky“, „Virginia“, „Lewantyński“ oraz „Galicja“ — głównie machorkowy). Obszary uprawy zostały znacznie powiększone i produkcja silnie wzmocniona, tak iż monopol ten dostarcza bardzo znaczne ilości surowca Rzeszy.

Dochody z monopolu pokrywają znakomitą większość wydatków administracji G. G. Dochód z monopolu wynosił: w pierwszej połowie 1940 — 195 milionów zł, w pierwszej połowie 1941 — 324 milionów zł.

PAŃSTWOWE ZAKŁADY ZBOŻOWE I PRZEMYSŁOWE W G. G.

Istniejące w Polsce państw. zakłady zbożowe, których zadaniem było popieranie handlu zbożem i wywozu zboża oraz tworzenie tzw. rezerwy na wypadek katastrof żywiołowych, przejęte zostały przez G. G. i podporządkowane departamentowi aprowizacji rolnictwa „rządu G. G.“.

Wielki spichlerz w Lublinie został rozbudowany i zaopatrzone w nowe maszyny i suszarnię; mieści on do 150.000 ton zboża. Prócz tego istnieje spichlerz w Radzynie (do 50.000 ton) i 4 spichlerze dla zboża i mąki w Warszawie (do 60.000 ton).

W związku z nowym ich zadaniem — nie tylko aprowizowaniem ludności, lecz głównie zgromadzeniem i magazynowaniem ściąganych kontyngentów dla potrzeb wojsk niemieckich i Rzeszy — pojemność tych spichlerzy okazała się niewystarczająca; projektuje się więc utworzenie dalszych 10 spichlerzy o pojemności 120.000 ton, przy czym rozpoczęto już ich budowę we Lwowie, Tarnopolu, Stanisławowie, Zamościu i Hrubieszowie. We Lwowie spichrz połączony będzie z wielkim młynem o produkcji dziennej 150 ton.

W tzw. Galicji P.Z.Z. przejęły 7 olejarni, 4 fabryki mydła i świec, fabrykę kredy, 3 fabryki czekolady, cukrów i marmelady, 3 fabryki domieszek do kawy oraz piekarnie we Lwowie, Tarnopolu, Stanisławowie i Drohobyczu.

URUCHOMIENIE PRZEMYSŁU W „CENTRALNYM OKRĘGU PRZEMYSŁOWYM“ (C.O.P.).

Jak wiemy — niezwłocznie po zajęciu ziem polskich Niemcy podjęli wysiłki mające na celu uruchomienie zwłaszcza większych zakładów przemysłowych oraz zabezpieczenie zagarniętych surowców i towarów. Dotyczyło to m.in. C.O.P. Obecnie prasa niemiecka donosi, że „gospodarstwo przemysłowe na tym obszarze wprzęgnięte zostało jako poważny czynnik w służbę ogólnoniemieckich zadań gospodarczych“.

Prócz przemysłu stalowego i żelaznego, jak wiemy bardzo poważnego, acz poza bardzo starymi mniejszymi przedsiębiorstwami, stosunkowo młodego w tym okręgu, — została uruchomiona w znacznej mierze przemysł tekstylny, śródkim którego jest Tomaszów Mazowiecki, (została też uruchomiona Tomaszowska Fabryka Sztucznego Jedwabiu, zatrudniająca 2.000 robotników), przemysł chemiczny o produkcji bardzo różnorodnej (kwas siarkowy, kwas solny, sól glauberska, superfosfaty, boraks, kwas borowy itd.), przemysł marmurowo-kamieniarski (marmury kieleckie podobały się szczególnie Niemcom jako ozdoba gmachów reprezentacyjnych), wapienniczy, porcelanowy (grupujący się dokoła Ćmielowa), szklany (z produkcją miesięczną 100.000 kg szkła surowego, ilość przewyższająca zapotrzebowanie wewnętrzne, zezwalająca na eksport), garbarski i obuwia (Radom, gdzie uruchomiono też nową fabrykę taniego obuwia).

Niemcy przyznają, iż na obszarze tym istnieje zdrowy stosunek pomiędzy rolnictwem a przemysłem. Już w r. 1931 22% ludności znajdowało zatrudnienie w przemyśle i kopalnictwie, a i obecnie okręg ten wyżywić może swą ludność własnymi zasobami rolnymi.

Poszukiwania

Poszukiwani(e):

Rudzki Zdzisław, ur. 1924 r.,
Rudzki Tadeusz, ur. 1927 r.,
Baldwin-Ramult Leopold, 18 lat,
z Płotnicy, pow. Stolin, ostatnio przebywał
w Rosji, Archangelskaja obłast,

Rozwadowski Jerzy lat 18,
Bogobowicz Aleksander z Częstochowy.
Ostatnio obóz jeńców w Kozielsku,

Janina Słowińska z Równego Woł.,
Sarnowski Józef,
Lelegdowicz Mirosław,
Fila,
Kantorski,
Szewczyk Kazimierz, lat 51,
Krajewska Anna, Krajewska Krystyna,
Krajewska Alicja i Krajewski Zdzisław
z Drohobycza,

Zofia Wojciechowska z Warszawy, która
w styczniu 1942 r. wyjechała z m. Urpino

w Stalingradzkiej obłasti w kierunku na
Taszkient,

Wilhelm Bruliński,
Henryk Słowik, lat 17,
Kanasowa Ludwika, lat 40,
Sajkowski Wienczysław, sędzia,
Grigajtis Aleksander, mgr praw,
Krecz Antani, ur. w 1913 r.,
Szarfowa Weronika, lat 40,
Szarf Ryszard, lat 17, ostatnio zam.
w woj. wileńskim,
Jasiulewicz Julian, lat 38, wywieziony
do Rosji,
Rynkiewicz Irena, lat 20, z Brzeźcia
nad Bugiem,
Jurgielewicz Genowefa z Wilna.

Wszelkie wiadomości o powyższych pro-
simy kierować do redakcji „Ku Wolnej
Polsce“.

Poszukający Mieczysława de Gludowisca
zechce się zgłosić do redakcji naszego pisma.

Zbiórka odzieży dla uchodźców z Rosji

Za zezwoleniem Polskiego Oficera
Łącznikowego w Palestynie i w porozu-
mieniu z Delegaturą M.P. i O.S. zbieram używane ubrania, obuwie,
bieliznę itp. dla uchodźców z Rosji
na terenie Teheranu i in.

Garderoba zostanie wyczyszczoną
i naprawioną za pośrednictwem Dele-
gatury M.P. i O.S. i przesłaną na
miejsce przeznaczenia.

Dary należy zapakować (związać),
zaopatrzyć w karteczkę ze spisem rzeczy
i nazwiskiem ofiarodawcy i przesłać
pod adresem:

Por. L. Bernacki, Biuro Polskiego
Oficera Łącznikowego w Palestynie,
Jerozolima, ul. Wauchope.



Bakszysz